

**Wieś Łabunie,
16 września 1939
godzina 14:48**

Uprzedzony przez jednego ze swoich ludzi dowódca posterunku stał z brody resztki sosu i wyszedł z karczmy. W samą porę, bo Horch Kfz 15 z oficerami SS, poprzedzany przez trzy motocykle, właśnie się zatrzymał na środku błotnistej placu przed budynkiem. Motocykliści zsiadli z maszyn. Jeden z nich otworzył drzwi samochodu terenowego.

– Heil Hitler! – wykrzyknął starszy kapral, wyrzucając prawą dłoń w geście pozdrowienia. Dwaj towarzyszący mu szeregowcy zrobili to samo tylko ułamek sekundy później.

Wysiadający oberleutnant odpowiedział niedbale na pozdrowienie. Stał naprzeciw żołnierzom, chowając ręce za siebie. Poły jego płaszcz łopotały na mocnym wietrze. Miał szramę przecinającą twarz w poprzek i zabandażowany nos; znad opatrunku błyszczały czarne jak węgiel oczy.

– Nazwisko? – zapytał po niemiecku.

– Stabsgefreiter Hans Schmidt.

– Jaki jest skład osobowy tego posterunku?

– Trzynastu ludzi. Tutaj jest nas trzech. Dwóch żołnierzom zabezpiecza archiwum plebanii, pięciu jest w pałacu, a trzech pilnuje gorzelni – zaraportował.

Wydało mu się, że przez twarz esesmana przebiegł uśmiech zadowolenia.

– Dobrze. Odwołasz zaraz swoich ludzi z gorzelni. Przejmujemy ją. – Mówiąc to, wyjął przygotowany wcześniej dokument i przez chwilę przytrzymał go przed oczami rozmówcy. Nie dbając, czy tamten zdążył przeczytać, schował

papier do wewnętrznej kieszeni płaszcza. – A ty możesz nadal ochraniać karczmę. Dobre tu mają jedzenie?

– To żydowska karczma... – W tym momencie stabsgefreiter uświadomił sobie, że niedokończony obiad stygnie w środku. By nie zostać posądzonym o sympatię do żydowskiej kuchni, dodał szybko: – Ale gotują też polskie dania! A jak pan oficer zażąda, na pewno przyrządzą coś po naszymu!

– Nawet golonkę po bawarsku? – Oberleutnant uśmiechnął się złośliwie i ruszył do środka, mijając zakłopotanego żołnierza.

Karczma była typowa dla tego rejonu Polski. Przysadzistą chałupę tylko trochę większą od pozostałych we wsi wyróżniał zadbane dach pokryty słomą i niedawno odmalowane drzwi pomiędzy dwoma oknami. Poruszająca się zasłonka w tym po prawej zdradziła, że niemieccy żołnierze są obserwowani przez kogoś w środku.

Idąc dwa kroki za oberleutnantem, kapral zastanawiał się, czy okazane dokumenty rzeczywiście upoważniają SS do przejęcia gorzelni. Nie chciał jednak podpaść oficerowi. Liczył też w duchu, że esesman nie rozpozna żydowskiej potrawy na jego talerzu.

Z rozważań wyrwał go dziwny gest, jaki wykonał człowiek w czarnym płaszczu w drzwiach karczmy. Dotknął ręką mezuzy. Schmidt pamiętał kursy zorganizowane przez NSDAP w Norymberdze, gdzie uczono rozpoznawać domy i zakłady Żydów. Zaskoczony uznał, że tamten zrobił to z czystej ciekawości.

Jednak gdy oficer ucałował z namaszczeniem palce, zdumiony kapral odruchowo sięgnął po broń, właściwie interpretując gest. Nie zdążył wyjąć pistoletu. Szarpiąc kaburę, zarejestrował tylko, że esesman się odwrócił, a w jego ręce coś błysnęło. W tej samej chwili potężny cios w potylicę pozbawił go przytomności.

– Coś ty się nagle taki religijny zrobił, Majcher?

Rabin stał nad powalonym Niemcem, rozmasowując prawą dłoń. Dwaj szeregowcy Wehrmachtu szamotali się obezwładniani przez motocyklistów.

– Ciężkie czasy, to i warto z Jahwe mieć dobre układy – odpowiedział Messer, chowając nóż do kieszeni płaszcza. Urke już miał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, gdy dyskusję przerwało otwarcie drzwi i głos dobiegający z wnętrza karczmy.

– Szolem–alejchem!

Szczupły oberżysta kłaniał się usłużnie.

– Zapraszam, zapraszam, czulent jeszcze ciepły! Ta niemiecka świnia nie zeżarła nam wszystkiego.

Dzięki zdobytym informacjom wioskę zajęto w ciągu dwudziestu minut – i to bez jednego wystrzału. Niemieccy żołnierze trafili do zamykanej piwnicy w gorzelni. Ich mundury i broń przejęli kawalerzyści z podstawową znajomością języka Goethego, których przydzielono do zaimprovizowanego posterunku na placu przed karczmą.

Gdyby pojawiły się inny oddział niemiecki, rozmowy miał prowadzić Majcher paradujący w randze porucznika SS. Przejęte dokumenty uwiarygodniały jego działania i obecność oddziału. W sytuacji krytycznej oprócz rozkazów i przebierańców miał w odwodzie piętnastu żołnierzy ukrytych w pobliskich domach. Wilecki jednak nalegał, by zbywać ewentualnych gości ogólnikami i tajemnicą SS, a walkę podjąć jedynie w razie zdemaskowania.

– Czy ta aparatura będzie dla pana przydatna? – zapytał rotmistrz, rozglądając się po pomieszczeniu pełnym metalowych rur i cylindrów. Błyszczały złotem w promieniach wrześnieowego słońca wpadającego przez wielkie okno w zachodniej ścianie.

Doktor, zajęty analizowaniem listy dostarczonej przez magazyniera, nie odpowiedział od razu. Przerzucał kartki dopięte do drewnianej podkładki, wyraźnie czegoś szukając. Oficer uderzył mocno otwartą dłońią w wielki zbiornik, wyrwijając mężczyźną z zamyślenia.

– Pytałem, czy zdoła pan to wykorzystać do produkcji gazu i szczepionek?

– Właśnie w tej chwili to szacowałem. – Jeszcze raz spojrzął w papiery. – Związki chemiczne z mojego laboratorium plus niektóre substancje z magazynu pozwolą w ciągu dwunastu godzin napęlić gazem kilka pojemników.

– Doskonale. Ma pan do dyspozycji cały zakład i siedmiu pracowników, których udało się ściągnąć z wioski i najbliższej okolicy. Pan wydaje dyspozycje, oni je wykonują. A ile czasu zajmie produkcja szczepionek?

Doktor odwrócił się i wskazał gestem lśniąca aparaturę:

– To się nie nadaje do masowej produkcji szczepionki i gazu jednocześnie. W dodatku mam zbyt mało składników. Tu ich nie znalazłem, w końcu to nie zakłady chemiczne. – Widząc na twarzy oficera narastającą frustrację, dodał szybko: – W laboratorium testowym, gdzie byliśmy przed chwilą, mogę rozpocząć równoległą produkcję niewielkiej partii szczepionek.

Wilecki westchnął głośno.

– Przekroczyliśmy punkt bez powrotu. – Wskazał palcem duże okno za plecami doktora. – Dwadzieścia kilometrów stąd nasze oddziały walczą z liczniejszym i lepiej wyposażonym wrogiem. Musimy im pomóc! A nie mogę się opierać tylko na tych trzech Żydach. Bo na Kupichę chyba na razie nie mamy co liczyć?

Kolejny raz rotmistrz wykorzystał słaby punkt doktora. Zmieszany Grzędzielski zaczął się tłumaczyć:

– Kiedy się przygotowywaliśmy do opuszczenia folwarku, był jeszcze nieprzytomny. Nie wiem, czy już się wybudził, przecież nas pan rozdzielił.

– Owszem. Nie było potrzeby zostawiać wszystkich tutaj. Policjanci z woźnicą, pańską służbą i moimi rannymi zostali zakwaterowani w pałacu. Rezydują tam jakieś zakonnice, nie pamiętam nazwy zakonu. Na pewno odpowiednio się wszystkimi zaopiekowały. – W jego głosie doktor usłyszał szczerą troskę. Szybko jednak jego miejsce zajął ton nieznoszącego sprzeciwu rozkazu. – Liczę na szybką produkcję gazu i szczepionek. Ile ich będzie?

Doktor przymknął oko, zbierając myśli.

– Trudno podać dokładną liczbę, ale sądzę, że około siedmiu, ośmiu. Będą gotowe jutro rano.

Budynek koszar w Tomaszowie Lubelskim,

17 września 1939

godzina 15:50

– Utrzymać pozycję i rozpaścić ogień! Powtarzam – UTRZYMAĆ POZYCJĘ i ROZPALIĆ OGIEN! – radiotelegrafista starał się przekrzyknąć huk wystrzałów. – Ma lecieć dym! Tak! Dym! GĘSTY DYM!

Adiutant zamknął drzwi pomieszczenia łącznościowców i wrócił do gabinetu komendanta, gdzie generał Piskor urządził punkt dowodzenia. Z pomieszczeń powyżej i poniżej kilkunastu strzelców trzymało Niemców na bezpieczną odległość.

– Otrzymaliśmy od większości jednostek zmotoryzowanych potwierdzenie przyjęcia rozkazu o użyciu świec dymnych o godzinie szesnastej trzydzieści – zameldował.

– Jak to nam może pomóc? Co najwyżej Niemcy posiedzą jakiś czas w maskach gazowych, a potem wszystko zacznie się od nowa. – Generał Szylling był sceptycznie nastawiony do planu działań przedstawionego okrążonym wojskom przez Wileckiego w ostatnim szyfrogramie. Pochylił się nad mapą. – Brawurowy atak Brygady Pancerno-Motorowej pułkownika Roweckiego rozbił obronę miasta. Zaskoczeni Niemcy przegrupowali się jednak i szybko przeszli do kontrnatarcia, które związało nasze główne siły. Po paru godzinach w okolicy Tomaszowa dotarły trzy niemieckie brygady pancerne, zamykając pierścieniem wokół Armii „Kraków”. – Wykonał nad mapą okrążający ruch ręką. – Opanowaliśmy pół miasta i przedmieścia od strony północno-zachodniej.

– Rotmistrz Wilecki ma przeprowadzić akcję dywersyjną na tyłach wroga.

Rozpyli substancję, którą wyprodukował w zajętej gorzelni. Nasze działania mają wprowadzić przeciwnika w błąd co do źródła zagrożenia. Nawet jeśli substancja nie zadziała, to żołnierz w masce gazowej jest mniej skuteczny. A my przeprowadzimy wtedy kontratak, by wyrwać się z okrążenia. – Generał Piskor przerwał, zdając sobie sprawę, że karabiny ucichły.

– *Dzielny polski żołnierzu! Dzisiaj, siedemnastego września, na wschodnie tereny twojego kraju wkroczyła Armia Czerwona. Wasz rząd uciekł za granicę. Dalsza walka nie ma sensu. Poddaj się Wehrmachtowi, zamiast ginąć z rąk bolszewików!* – Skrzekliwy dźwięk głośnika przerwał ciszę na zewnątrz.

Piskor ze złością uderzył w blat biurka, przypominając sobie rozkaz naczelnego wodza, by „z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia oddziałów”.

– Który to już raz dzisiaj?

– Piąty. Nadają co dwie godziny od ósmej rano.

Piskorowi zaświtała pewna myśl.

– Proszę przekazać pułkownikowi Roweckiemu, że ma wziąć najlepszych swoich ludzi, zrobić wypad i zdobyć tę szczekaczkę. Nie niszczyć! Zdobyć!

Szylling i pozostali oficerowie spojrzeli pytająco. Nie wyjaśniając jeszcze niczego, dowódca spytał tylko:

– Czy ktoś z panów zna dobrze język niemiecki?

